ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 15-go Kwietnia 1895. Nr. 8.

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek.

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Szlachetne serce Hołubka cierpiało niewymownie na myśl, że odnaleziona tak niespodzianie siostra nie będzie taką, jaką on ją mieć pragnął.

Zajęty temi smutnemi myślami nie spostrzegł, że został sam w izbie, gdyż karczmarz poszedł do stajni pomagać parobkowi czyścić i odpasać konie podróżnych, a gospodyni przyrządzała w kuchni wieczerzę dla spóźnionych gości, nie zauważył, że długa chwila upłynęła od wyjścia Semena i Kostka, nie słyszał żwawej rozmowy dochodzącej z alkierza, po której grobowe nastąpiło milczenie, ocknął się dopiero, gdy stary sługa pani Gorajskiej i młody pachołek pana Adama stanęli przed nim. Pierwszy miał łzy w oczach, a wzrok drugiego jaśniał radością.

Semen skłoniwszy się Hołubkowi rzekł:

— Witam, waszmość pana, jako miłego brata mej młodej pani, która już wie, jakie ją szczęście spotyka i czeka tam oto.... ale w męzkich szatkach, które przywdziać musiała, aby łatwiej ujść pogoni.

— Moja siostra tu jest? — zawołał Gabryel, podnosząc się blady jak chusta, bo wszystka krew zbiegła mu do serca.

— Tak jest. Przeczytała właśnie list małżonka swego, pana Adama Wisłockiego, a dowiedziawszy się, że Pan Bóg pozwala jej odnaleść brata, pragnie coprędzej powitać waszmość pana.

Hołubek w milczeniu wszedł do alkierza, gdzie ujrzał zadziwiającej piękności panicza stojącego przy stole, którego się śliczne chłopię trzymało oburącz. Ludka (bo ona to była tem chłopięciem) blada była tak samo jak brat jej, na którym wielkie jej ciemne oczy spoczęły jakby z niepokojem, obawą i ciekawością, ale gdy Gabryel objął jej kolana i głosem drgającym, głębokiem uczuciem szepnął:

— Siostro moja... pani siostro...

Ludmiła zarzuciła mu nagle obie

ręce na szyję i tuląc do piersi brata piękną twarzyczkę głośnym wybuchła płaczem.

Gabryel zaś chwyciwszy ją w objęcia i całując jej ciemną główkę, mówił z tkliwą miłością:

— Ludka... mała Ludka... moja jedyna siostrzyczka... Jabym cię wszędzie poznał, pani siostro, od razu... tyś nietylko do mnie bardzo podobna, ale i do matki naszej...

— I jabym cię poznała bracie! — zawołała Ludmiła zdumiona, wpatrując się w twarz Gabryela — toż ty masz moje rysy, moje oczy!... O! jaki Bóg dobry, że nam się znaleść pozwolił!

— Oh! Czemuż ojcowie nasi nie doczekali tej radosnej chwili... Oboje umarli z boleści, że ciebie stracili...

— O bracie!... mój bracie!... Ale podziękujmy najprzód Panu Bogu za to szczęśliwe spotkanie, a potem opowiesz mi wszystko, co wiesz o naszych rodzicach, — mówiła Ludka i padła wraz z Gabryelem na kolana.

Długo i serdecznie modliło się uszczęśliwione rodzeństwo, poczem siedli oboje na ławie, a Hołubek, trzymając piękną, drobną rączkę siostry, jął opowiadać o rodzicach i sobie.

Tymczasem w pierwszej izbie, gdy Semen wtajemniczył Kostka we wszystko, co zaszło w Siekierzanach a o czem przy pani Adamowej tylko po krótce wspomniał, wierny pachołek rotmistrza zaczął prawić staremu, jak to pan Wisłocki zbłąkawszy się w lesie, spotkał się z Hołubkiem, jak zaraz pana i jego, Kostka, uderzyło na pierwszy rzut oka nadzwyczajne podobieństwo pięknego młodzieńca do pani, jak sobie wnet Kostek pomyślał, choć jeszcze nie wiedział, że młoda pani nie jest z domu panną Gorajską, iż ten urodziwy nieznajomy musi być chyba jakim krewnym pani rotmistrzowej, dalej jak zaproszeni przez Hołubka do Olkusza, zajechali do jego domu, gdzie z rozmowy i po krzyżyku przekonał się pan Adam, jako żona jego jest rzeczywiście rodzoną siostrę górnika; a wreszcie jak rotmistrz wyjawiwszy wszystko Hołubkowi i naradziwszy się z nim, pojechał do Wisłocka, zaś Kostkowi rozkazał jechać ze swoim szwagrem na Podole do pani i list jej zawieść.

Semen słuchał tego opowiadania bardzo ciekawie i dziwował się, jakto Pan Bóg różnie człowieka wiedzie, a w końcu zauważył:

— Szczęście to prawdziwe, żeśmy się tu natkli na siebie, bo jutro, pozajutrz juźby się drogi nasze rozeszły. My bylibyśmy jechali ku północy do Warszawy, a wy na południe ku Kamieńcu.

— I kto wie, coby nas tam w leśniczówce u Dymitra spotkało!

— Oj, oj! to się wie, że nic dobrego! Pan Siekierzyński pewnie już się tam wściekł ze złości... Szalał, gdy panienka nie chciała go za męża... no... tyle ci jeno powiem, że nie chciałbym być w skórze Jaremy.

— Ale nie powiedziałeś mi jeszcze waść, — zagadnął po chwili milczenia Kostek, — jakim sposobem wydobyłeś młodą panią z więzienia tak pilnie strzeżonego.

Semen rozśmiał się i zatarł ręce z wielkiego zadowolenia.

— Zje ten djabła — rzekł — kto się domyśli przed powrotem pana Marka, jak się to stało! Ale skoro on przyleci do zamku, zaraz się domyśli, kędy ptaszek uciekł... Żal mi panny Agnieszki... i pani rotmistrzowa jej żałowała, chciała też koniecznie, aby babinkę przypuścić do sekretu, że to się troszczyć będzie i niepokoić; ledwom wyperswadował.... Panna Agnieszka zacna persona... nie ma co!... ale zawszeć to białogłowa, a jakiś mędrzec grecki powiedział, że niewiasta wszystko zwycięży, jak się zaweźmie, jednemu tylko swojemu językowi nie da nigdy rady, ten ją zawsze pokona i wszystko wyśpiewa. A przy tem staruszka boi się pana Marka... niechby krzyknął, ryknął, juźby zaraz wyznała.

— To i co! Jak pani raz uszła, tak i wszystko przepadło!

— Mądryś! A bo to nie mógł wysłać pościgi za nami? Co pewnie uczynił, jeźli wczas wrócił! Albo-li sam pognać w pogoń? Nie wiedziałem gdzie

pojechał... mógł wrócić każdej chwili... A nużby zgonił? Boże zmiłuj się! Strach o tem pomyśleć nawet, bo to pan prędki, jak sto djabłów.

— Ale jakeście się z zamku wymknęli, kiedy Jarema jak pies warował?

— To tajemnica.... ale już ci powiem... tylko mi zaprzysięgniesz, że nikomu i słówka nie piśniesz.

— Waść mi bodajnie nie ufasz, kiedy się tak boisz i przysięgać każesz?

— Ufam ci, ufam, bo i twój pan ci ufał, skoro cię wziął na świadka swego ślubu, aleć zawsze lepiej jest zabezpieczyć się przed cudzym językiem.

— Tedy waści przysięgam, że będę milczał, jak ryba.

— Więc słuchaj. Jakem się dowiedział, że młoda pani zachorzała, a pan Marek poleciał... jedni mówili, że po księdza, aby niebożątko przymusić do ślubu, drudzy, że do panów Zborowskich, aby ich jakiejś krewniaczce wydać sierotę, a odjeżdżając bramy kazał trzymać zamknięte, a zamek oddał pod moc Suchoweja, tedy ja co tchu przygotowałem męzkie ubranie dla pani, kupiłem dwa dzielne bieguny, wsypałem wszystkie moje grosze do trzosa i dybałem, a zachodziłem chcąc się z panią widzieć. Ale w zamku powiadają: »Chora, śpi i śpi, nie wiada, co będzie.« Już mnie strach brał, aż tu trzeciego dnia z rana przychodzi do mnie sam Jarema i prowadzi do jasnej panienki. Ledwom kozaka nie uściskał, takim był rad! Wnet zostałem sam z panią.... uradziliśmy ucieczkę, bo jakże było inaczej.... po północku już byliśmy w jarze....

— Oknem uciekliście, czy jak? — przerwał Kostek.

— Zaś tam oknem! Przecie okno było zakratowane, a strzeżone mieszkanie panienki na piętrze. Ale jest tam w Siekierzanach podziemny przechód z zamku, aż za ogród w głąb jaru. O tym przechodzie nikt nie wie tylko ś. p. pani Gorajska i pan Marek. Ale mnie nieboszczka pani, Panie świeć nad jej duszą! zeznała tajemnicę w czasie jednego napadu Tatarów. Do tego podziemia wchodzi się z jednej sali w zamku, która właśnie przytykała do pokojów pani rotmistrzowej. Około komina, wyłożonemi szeroko dębowemi i marmurowemi płytami są utajone drzwiczki, które za naciśnięciem sprężyny, same się otwierają i zamykają.

— To już pan Siekierzyński będzie wiedział, którędy uciekliście.

— Toć, że się domyśli! Jakżeby inaczej!

— Ale że to panią zamknął w takich pokojach, z których taką prostą drogę miała na świat?

— Widzisz chłopcze, pan Marek mało co przesiadywał w Siekierzanach i pewnie zgoła o tym podziemnym ganku zapomniał... w takiej pasyi jak był, gdzie mu tam było myśleć o czem innem jak nie o swojej złości... A mógł też nie wiedzieć, że ja znam tę drogę z zamku.

— Musiało tak być, jak waść mówisz. W srogiej cholerze, która go chwyciła, docna głowę stracił.

— Tak, to tak, mój Kostku! Kto nie panuje nad swojemi żądzami, tego one wnet opanują i jak niewolnika trzymają. Młodyś jest, ucz się z tego...

— Ale gdzie też teraz ruszymy? — przerwał Kostek, któremu co innego było w głowie nie nauka, jak poskramiać swoje namiętności. — Okrutniem ciekawy, czy nawrócimy do Olkusza, czy też pojedziemy do Warszawy, czy gdzie?

— Wedle mej głowy, to trzebaby nam.... — zaczął mówić Semen, lecz nie dokończył, bo Hołubek wyszedł z alkierza i jął dziękować staremu słudze za opiekę nad siostrą. Dalej oznajmił, iż z panią Adamową uradzili ruszyć nazajutrz do Olkusza wraz z Semenem. Sam tylko Kostek miał podążyć do Warszawy do rotmistrza z listem od Ludmiły, w którym mu donosiła o wszystkiem, co zaszło od jego wyjazdu, a także i to, że stósownie do jego życzenia wyrażonego w liście, postanowiła zamieszkać przy bracie tak długo, dopóki on ojca nie przebłaga i w dom ją swój nie wprowadzi.

— Nim my staniemy w Olkuszu — mówił Hołubek, — to i Kostek będzie w Warszawie, gdzie z pewnością zastanie już swego pana, który powiadał, że ze swoim panem ojcem na sejm konwokacyjny podąży.

Na tem skończyła się tego wieczora rozmowa, gdyż karczmarka wniosła wieczerzę a niebawem i karczmarz powrócił ze stajni.

W godzinę później trzej podróżni spali smacznie na ławach, owinięci w ciepłe kożuchy. Natomiast delikatny panicz w alkowie, czyli nasza Ludka, choć spoczywała w wygodnem łóżku, nie zmrużyła dotąd oka. Gwałtowne wzruszenia, jakich wieczorem doznała, spędzały sen z jej powiek. Przeczytawszy list męża, była Ludmiła jakby gromem rażona. Ona marzyła dotąd, że ze znakomitej pochodzi rodziny, że skoro ją odszuka, może jeszcze honor przyniesie mężowi swojem urodzeniem, że stary pan Wisłocki z otwartemi przyjmie ją rękoma, może nawet będzie się szczycił swoją synową. Aż tu nagle dowiaduje się, że jest córką gwarka, że ma brata górnika, który oto przyjechał po nią i zamiast do wspaniałego zamku dumnego teścia, wprowadzi ją do skromnego domku rodzinnego.

Serce Ludki ścisnęło się dziwnie przykrem uczuciem, które przecież trwało tylko krótką chwilę. Wychowanka pani Elżbiety miała serce czyste, poczciwe i duszę na wskroś prawą. Zawstydziła się więc wnet srodze tego przykrego uczucia, jakiego doznała na wieść o swojem niskiem pochodzeniu, złajała się sama za to nieszlachetne poruszenie duszy, i poprzysięgła sobie, że jakimkolwiek ten brat nieznany będzie, ona go będzie kochała, będzie dla niego najlepszą siostrą, nie pokaże nigdy ani cienia żalu lub smutku, że się nie w pałacu, lecz pod niską strzechą urodziła.

Ledwo zrobiła to postanowienie, Gabryel stanął przed nią i pochylił się do nóg jej, a Ludka gdy spojrzała w jego piękne oblicze, w jego piękne oczy, w których jaśniała jeszcze piękniejsza dusza i zacne serce, sama nie wiedziała, kiedy znalazła się w objęciach brata.

Gdy zaś po długiej rozmowie, Gabryel całował ręce siostry na dobranoc, to czuła, że tego nieznanego do dziś brata nietylko kocha całem sercem, lecz zarazem szanuje z głębi duszy, że ten brat, choć nie szlachcic, nie pan, lecz zwyczajny górnik, jest prawdziwym skarbcem cnoty i szlachetności, i że nie oddałaby tego brata robotnika, za innego brata, choćby księcia nawet.

Ludmiła poznała a raczej odgadła i przeczuła, że w każdem jego słowie przebijała się nieposzlakowana uczciwość i bystry rozum, że obejście jego było pełne słodyczy i delikatności, ale biła jeszcze od niego jakaś siła, jakaś moc, która pociągała i porywała za sobą, w jego ciemnych oczach palił się jakiś czysty płomień, który zapalał do wszystkiego, co wielkie, piękne i dobre.

Ten prosty górnik nie był wcale prostakiem, ten nieuczony młodzieniec nie był wcale ograniczonym, ten robotnik, któremu życie upływało dotąd w ciężkim trudzie pod ziemią, nie był wcale przytłoczony pracą, ale zdawał się duszą i umysłem bujać gdzieś hen daleko w promieniach słońca i przestworach wielkości.

Ludka była po prostu zachwycona bratem; leżąc teraz z oczyma szeroko otwartemi nie żałowała wcale, że jest córką gwarka, a siostrą prostego górnika, ale serdecznie dziękowała Panu Bogu, że zabrawszy jej czułą opiekunkę i rozłączywszy ją z mężem, dał jej w to miejsce tak prędko kochającego i ukochanego brata, dom rodzinny i troskliwą opiekę zacnego, rozumnego człowieka.

Długo tak leżąc cicho, rozmyślała nad tem wszystkiem, co ją dnia tego spotkało, aż wreszcie znużona radosnemi uczuciami i myślami, zasnęła głęboko i spokojnie.

Nazajutrz rano, gdy brylantowe strzały wschodzącego słońca uderzyły o szyby śnieżnymi kwiatami pokryte, usiłując wtargnąć do wnętrza gościnnej izby, Hołubek, Semen i Kostek siedzieli już za stołem nad grzanem piwem, za-

prawionem śmietaną i grudkami sera; nawet delikatny paniczyk, to jest piękna Ludka, przyodziana już jak do drogi, popijała winną polewkę, spoglądając raz

płacił żądaną sumę gospodarzowi za nocleg i żywność, a nadto wcisnął mu jeszcze dukata i wyszedł wraz z Ludką przed sień. Konie zarżały na widok



Nowa brama dziedzińca kościelnego na Skałce w Krakowie. (Zob. objaśn. rycin na str. 128.)

po raz z boku na Gabryela swemi ognistemi oczyma, w których błyszczała radość i miłość dla brata.

Nareszcie, gdy stajenny przyszedł oznajmić, że konie gotowe, Hołubek za-

jeźdzców. Gabryel wsadził siostrę na siodło, poczem dosiadłszy sam swego konia, ruszył z Ludmiłą naprzód; tuż za nimi podążyli razem Semen i Kostek.

Karczmarz zaś obejrzawszy ze wszy-

stkich stron darowanego dukata, rzekł do żony:

— Com ci mówił matka? Ten siwy nie patrzał na pana i z pewnością nie jest dziadusiem tego ślicznego panięcia! Ale zaś ten urodziwy młodzian, co później przyjechał, musi być bliskim jego krewnym... albo zgoła bratem... hojny też jak się patrzy... głowę moją daję, że się tu dwóch rodzonych braci niespodzianie zjechało!

— Jabym tam głowy za to nie dała, że to bracia — odparła karczmarka — ale że podobni do siebie jak dwie krople wody, to i prawda. Tylko tak mi się widzi, że ten starszy wyrósł na powietrzu, a ten młodszy był pod szkłem chowany.

— Wiesz, matka? toś dobrze powiedziała!... Ale zawsze godni to jacyś państwo, niechże im się dobrze jedzie!

I państwu rzeczywiście dobrze się jechało; lecz tylko do końca lasu jechali wszyscy czworo razem, w jednę stronę. Około południa wyjechawszy z lasów i dawszy wytchnąć nieco koniom, w jakiejś małej wioszczyznie, rozjechali się w dwie strony. Kostek podążył w kierunku północno-zachodnim do Warszawy, do swego pana, który już tam pewnie na sejm pojechał, Hołubek zaś z Ludką i Semenem skręcili prosto na zachód w stronę Krakowa, za którym leży Olkusz. Chciał wprawdzie poczciwy Gabryel pospieszyć do Olkusza naprzód, mało co, lub nic zgoła nie odpoczywając po drodze, aby dom na przyjęcie siostry przysposobić; lecz ta żadną miarą zgodzić się na to nie chciała.

— Bracie najmilszy — mówiła spoglądając na Gabryla z przywiązaniem — jakże mnie to chcesz porzucić tak prędko, dopiero co odzyskawszy?

— Pani siostro, Bóg widzi, jak mi z tobą miło wracać; ale domek mój skromny... a pragnę, by ci się gniazdo rodzinne jak najpiękniejsze wydało. Na zamkuś wychowana...

— To nic! Z tobą wszędzie będzie mi się podobało. A jużbym też chyba serca nie miała, gdybym przyzwoliła, żebyś bez wytchnienia gnał taki kawał drogi.

— Jam trudu zwyczajny! Lecz wy, miła siostro, oto trzęsiecie się na koniu już tyle mil... Łaska Boża, że wam sił i zdrowia stanie.

— Jam sobie wypoczęła dobrze w Krzemieńcu, do którego Semen umyślnie zajechał, jako do swoich rodzinnych kątów, abym tam sił nabrała; co jest szczęście prawdziwe, bo gdybyśmy byli pojechali prosto ku Warszawie, bylibyśmy się z tobą zminęli.

— Pan Bóg snać czuwa nad tobą, moja słodko siostrzyczko! Jabym ci też rad nieba przychylił i chciał przyjąć w naszym domku, jak królewnę...

— Jeno mi już nie wspominaj o tem, że naprzód pojedziesz, bo jako żywo nie będzie z tego nic! — zawołała gorąco Ludka. — Już razem jedźmy, kochany bracie.

— Ha! kiedy taka wola wasza, pani siostro!... Mnie słuchać, tobie rozkazywać — odparł Gabryel i ucałował drobne rączki Ludki, która za żadną cenę nie byłaby się teraz z bratem rozłączyła.

Już też więcej nie było mowy o tem, aby Hołubek miał naprzód ruszyć. Jechali tedy razem, niezbyt spiesząc, aby pani Adamowa się nie męczyła, a w czasie jazdy rozmawiali bezustanku. Gabryel mówił Ludce o zmarłych rodzicach, o swojem sieroctwie, poczciwej ciotce Ewie, o pracy w kopalni i stosunkach, w jakich żył; Ludmiła zaś opowiadała całe swoje życie; mianowicie wspominała często Adama, ale wtedy pogodna twarz górnika powlekła się chmurą smutku i bolesnej troski.

Semen, dla którego to młode rodzeństwo nie miało tajemnic, słuchając opowiadań Hołubka, spoglądał na niego z coraz większem zdumieniem. Stary sługa, lubo pochodził ze zaścianka, był przecież szlachcicem; skoro więc usłyszał, że brat jego uwielbianej pani jest prostym górnikiem, przeraził się niemal; ale teraz przypatrując się temu nieszlachcicowi, podziwiał go w duszy i tak samo, jak Ludka już po pierwszej z bratem rozmowie, widział teraz i Semen,

że Hołubek przerósł sercem i umysłem wielu, bardzo wielu ludzi ze szlachty.

Hojnie też doprawdy obsypał Pan Bóg tego zwykłego robotnika. Gabryel Hołubek miał serce czyste, pełne dobroci i łagodności, duszę szlachetną, bystry i zdrowy sąd o rzeczy, nad to odznaczał się niezwykłemi zdolnościami, jakąś wielką godnością i wspaniałością, gorącością uczuć i odwagą. To też podziw i przywiązanie budził nietylko we własnej siostrze i starym szlachcicu Semenie, lecz w każdym, kto go poznał, kto się do niego zbliżył. Powszechna więc miłość i szacunek otaczały młodego górnika. (Ciąg dalszy nastąpi.)

Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA.

(Ciąg dalszy.)

Im więcej i widoczniej okazywały się owoce działania Grzegorza, tem więcej go prześladowano i zaczepiano w sposób najhaniebniejszy. Podburzano lud przeciw niemu, a jeżeli musiał czasem wyjść z domu, to kamieniami na niego rzucano. Razu pewnego banda ludzi o północy wpadła do kaplicy, w której Grzegórz właśnie odprawiał nabożeństwo. W zamięszaniu wywrócił się kielich na ołtarzu, a ołtarz został zbeszczeszczony, ledwo Grzegórz mógł się uratować przed swymi prześladowcami. Lecz na dworze cesarskim w Konstantynopolu polepszyło się. Cesarz Teodozyusz wstąpił na tron i bardzo szanował Grzegorza.

W roku 379 został cesarzem w Konstantynopolu Teodozyusz, który miał wielki szacunek dla Grzegorza. Szczerze pragnął tego, aby w Kościele zapanował spokój. Dla tego zwołał do Konstantynopola drugi powszechny sobór, czyli synod, czyli zebranie biskupów z całego katolickiego świata, roku 381. Na tym soborze złożono z urzędu Maksymusa, który w nieprawy sposób chciał być biskupem konstantynopolitańskim, uznano jako biskupa Grzegorza. Tenże z płaczem prosił i błagał, aby godniejszego wybrano na to miejsce, lecz właśnie taka pokora wywyższyła go w oczach cesarza i innych, i nie pozostało mu nic innego, jak przyjąć wybór. Pocieszała go nadzieja, że jako pierwszemu biskupowi i patryarsze wschodu uda się zażegnać spory, jakie powstały pomiędzy biskupami różnych Kościołów. Lecz nadzieja ta nie spełniła się. Kiedy Grzegórz widział, że i jego wpływ nie wystarczy, aby pogodzić poważnionych, nie chciał pozostać w Konstantynopolu. Mimo próśb cesarza i wielu biskupów złożył urząd, który niechętnie był przyjął i cofnął się do Naziancu, który mu się stał miłym przez wspomnienia młodości.

Jeszcze dziewięć lat żył Grzegórz po złożeniu urzędu. Prowadził życie zupełnie podobne do tego, które wiódł z Bazylim, a nawet wiek starszy nie powstrzymał go od tego, aby nie był surowym dla samego siebie. Nigdy nie jadł potraw ciepłych, nawet nie używał ognia, aby się ogrzać. Jako łóżko służyła mu trzcina pleciona; przez cały rok miał równe odzienie; zawsze chodził boso. Najmilszymi jego przyjaciołmi byli mieszkańcy niebiescy, z którymi był w związku, chociaż jeszcze przebywał na ziemi. Pragnienie nieba, gorąca miłość Kościoła, święta obawa sądu bożego, wszystko co go radowało lub zasmucało, opisał we wierszach. Chociaż żył samotny nie był zapomniany, i jeszcze za życia wzywano jego modlitwy przy chorych.

Wiele przymiotów zacnych miał Grzegórz, lecz pierwsze miejsce zajmowała cnota pokory. Nigdy nie stał wyżej, jak kiedy miał sposobność przebaczenia nieprzyjaciołom i zapomnienia krzywd sobie wyrządzonych. Pewnego razu przystąpił do niego młodzieniec, rzucił mu się do nóg, nic nie mówiąc, tylko płacząc



TAJEMNICE HANDLOWE.

i wzdychając, obłapił kolana. Zdziwionemu Grzegorzowi opowiedzieli inni, że młodzieniec chciał go zabić a teraz przychodzi, aby go przeprosić. »Bóg niechaj będzie twoją opieką,« rzekł Grzegórz, »muszę cię mile przyjąć, ponieważ Bóg mnie zachował. Grzech twój mnie uczynił twym dłużnikiem. Odtąd godnie postępuj przed Bogiem i mną.« Kiedy biskup pewien ubolewał nad tem, że Aryanie na Grzegorza rzucali kamieniami podczas nabożeństwa, rzekł: »Boleść twoja jest sprawiedliwa, lecz może to jest bardzo pożyteczną rzeczą, abym dał przykład cierpliwości, bo ludzie więcej zważają na uczynki, aniżeli na słowa. Korzystajmy z tej sposobności, aby złych pokonać dobrocią i doprowadzić ich w ten sposób znowu do prawdziwej religii. Starajmy się o to, aby się zlękli swego własnego sumienia, a nie bali się naszej zemsty. Nie pozwólmy się skusić szatanowi, który ciągle się stara o to, aby nam wydrzeć owoc dobrych uczynków.«

Najwyżej stanął Grzegórz, kiedy dla miłej zgody zrzekł się godności biskupa w Konstantynopolu. Mówił przed zgromadzonymi biskupami: »Kiedy wybór mój jest powodem takich niepokojów, to będę Jonaszem. Poświęcę się ku uratowaniu okrętu, chociaż nie jestem przyczyną burzy. Wrzućcie mnie w morze, dobry jaki wieloryb przyjmie mnie. Ja sam chcę być poniżonym. Niechętnie przyjąłem biskupstwo, lecz chętnie opuszczam takowe.« A do cesarza, który go nie chciał puścić, rzekł: »Nie pragnę złota ani marmuru, ani szat jedwabnych, ani kosztowności do stołu świętego, ani urzędów donośnych dla krewnych mych. Myślę, że zasłużyłem na coś szlachetniejszego, pozwól, aby ustąpił przed zazdrością.« Tak pokornie postępował sobie Grzegórz.

Jak smutne musiał święty porobić doświadczenia, kiedy zawołał: »Kto chce złych naprawić, popada w niebezpieczeństwo, że straci swe dobre imię, a innych na lepszą drogę nie naprowadzi. Dla tego cofam się w samego siebie i nie znajduję dla duszy mej innego bezpieczeństwa jak tylko spokój.«

Ks. Konstanty Damroth

(CZESŁAW LUBIŃSKI).

(Dokończenie).

Po wyświęceniu na kapłana władza duchowna posłała ks. Damrotha najprzód do Opola na kapelana czyli wikarego. Nie całe dwa lata tam przebył, pomagając gorliwie w duszpasterstwie. Warto z owych czasów zapisać, że na pocztę Opolską przychodziły razem dwie polskie gazety i to dwa numery »Przyjaciela ludu.« W urzędowych kołach bardzo byli ciekawi, kto sobie na taki »zbytek« pozwala, bo wówczas zbytkiem to było. Jednym z czytelników był ks. Damroth, abonujący gazetę w tym celu, aby ją ludziom dawać do czytania. Te dwa numery starczyły wówczas dla Opola; jakże to dziś inaczej? Ks. Damroth chętnie ten szczegół opowiadał na dowód, że od owego czasu chęć do czytania u ludu nadzwyczajnie wzrosła. W towarzystwie niemieckiem w Opolu miał ks. Damroth odczyt o starych nazwach szląskich; z odczytu tego powstała z czasem książka, której wydania autor już się nie doczekał. Do jego śmierci wydrukowano jej połowę, ale całe dzieło jest skończone w manuskrypcie i wyjdzie w ciągu roku bieżącego.

Świecka władza szkolna, poznawszy wielkie zdolności pedagogiczne ks. Damrotha powołała go na nauczyciela seminaryum nauczycielskiego w Opolu. Później sprawował niejaki czas ten urząd w seminaryum w Pilchowicach i tak to miejsce polubił, że na ostatnie lata życia tudotąd się sprowadził i tu też przezacnego życia dokonał.

W roku 1870, a więc zaledwie w trzy lata po wyświęceniu na kapłana, zamianowano go dyrektorem seminaryum nauczycielskiego w Kościerzynie. Przed opuszczeniem Szląska napisał i u K. Miarki wydrukował: »Żywot Najśw. Panny Maryi.« Dzieło to jest dziś zupełnie wyczerpane.

Na urzędzie dyrektora w stolicy polskich Kaszub, w Kościerzynie, wytrwał trzynaście lat i podczas ciężkich czasów walki kulturnej

zdołał pieczy swej powierzony zakład ustrzedz przed szkodą, zawsze na zasadniczem stanowisku względem władzy świeckiej się trzymając i ani na krok nie zstępując z drogi, którą jako kapłan katolicki postępować był zobowiązany. Z narodowością swoją polską nie występował ostentacyjnie, lecz nigdy jej się nie zaparł, a gdy chodziło o to, stwierdzał swoje przekonanie śmiało; n. p. na wybory zawsze się stawił i głosował wobec lantrata i urzędników na polskich i katolickich kandydatow. W utworach jego poetycznych znajduje się wiersz p. t. »Mądrość świata,« w którym wyśmiewa tchórzów przy wyborach temi słowy:

Zdrajca sprawy narodowej,
Kto na wroga kreskę da!
Lecz co jeden głos stanowi?
A tam stoi lantrat — sza...

Ten wiersz przypomniał się niektórym uczestnikom w pogrzebie ks. Damrotha, bo tam, nietylko lantrat, lecz nawet radzca prowincyonalny był. Sza!...

W czasie pobytu swego w Kościerzynie napisał i wydał pod własnem nazwiskiem następujące polskie dzieła: »Obrazki misyjne z wszystkich krajów i wieków« w roku 1873; w tym samym roku: »Opis ziemi świętej«; w trzy lata później dzieło w 6 zeszytach, 720 stron obejmujące p. t.: »Prosty wykład dziejów starego i nowego testamentu«. Jestto doskonały podręcznik dla katechetów, nauczycieli i rodziców chrześciańskich. Oprócz tych wydał małą »Historyą biblijną« dla dzieci. Wszystkie te książki drukował własnym nakładem, to znaczy, że nie szukał z nich zysku, lecz poświęcał swój własny, ciężko zapracowany pieniądz na wydanie pożytecznych książek polskich.

Pod nazwiskiem zaś Czesława Lubińskiego wydrukował w »Gazecie Toruńskiej« życiorys sławnego patryoty irlandzkiego, O'Connela, chcąc narodowi polskiemu postawić przed oczy szczytny przykład poświęcenia się dla ojczyzny i wzór pracownika dla dobra współbraci. W ostatnich miesiącach życia myślał o tem, ażeby ten życiorys przerobić i na nowo wydać dla ludu polskiego na Szląsku. Pewnego wieczora w lecie rozmawiał piszący te słowa z ks. Damrothem o O'Connelu. Staliśmy przy oknie, z którego widać było łany i lasy pilchowskie. Słońce zniżało się ku zachodowi. Ks. Damroth wpatrzył się w to słońce i rzekł: »Kiedyż to przepiękne słońce oświeci nasz Szląsk w szczęśliwszej doli? Brak nam takiego O'Connela; od lat wyczekuję go z westchnieniem. Może Bóg łaskawy da Szląskowi kiedyś takiego męża i oby go dał jak najprędzej! W młodzieży przyszłość narodu; z niej musi wyjść O'Connel szląski...« Obaj mieliśmy łzy w oczach, a po chwili dodał ks. Damroth: »Bóg czuwał nad nami dotąd, Bóg będzie czuwał dalej. Niech żywi nie tracą nadziei!...« Młodzieży polska na Szląsku, myśl o tych słowach zgasłego poety i pracuj z całych sił, aby z pomiędzy ciebie wyrósł O'Connel szląski!...

W tej samej »Gazecie Toruńskiej« wydrukował pod nazwiskiem Czesława Lubińskiego dzieło p. t.: »Szkice z ziemi i historyi Prus Królewskich.« W formie listów do przyjaciela opisał w niem wszystkie miejsca Prus Królewskich, które bądź dla piękności natury, bądź dla wspomnień historycznych na to zasługują. Żadna z dzielnic polskich nie doczekała się dotąd lepszego opisu nad to dzieło. Nie jestto bowiem suchy opis pomników, lecz nadzwyczaj zajmujący rys dziejów tej krainy, barwnie i serdecznie skreślony, wraz z pełnym uczucia opisem przepięknych okolic Prus Królewskich. Przez całe dzieło wije się jak nić złota gorąca miłość ojczyzny i współbraci. Autor okazuje w niem wrażliwość na piękność przyrody, delikatne poczucie piękna, wyrobiony smak artystyczny i świetny język. Dzieło to jest naszem zdaniem najdoskonalszem dziełem ks. Damrotha i prawdziwą ozdobą polskiej literatury. Szkoda tylko, że skutkiem konfiskaty nabyć go tymczasem nie można. Za sprawą osławionego Rexa, komisarza w Toruniu, wytoczono proces wydawcy tego dzieła, księgarzowi Edwardowi Michałowskiemu w Pelplinie. Sąd domagał się wydania nazwiska autora, lecz wydawca nie wydał tajemnicy. Skutkiem tego został skazany na 6 tygodni więzienia, lecz na mocy amnestyi, wydanej po zgonie cesarza Fryderyka, od kary zwolniony. Sąd dopatrzył się w dziele kilkakrotnej obrazy kościoła ewangielickiego. Jakim duchem dzieło to owiane, najlepiej świadczą słowa, postawione na czele, które tak brzmią: »Kto się stara Polskę poznać, ten się stara o jej zmartwychwstanie.«

Około roku 1883 poprosił ks. Damroth władzy świeckiej o przesiedlenie go na Szląsk. »Czas już abym wrócił do braci i dla nich pracował, bo oni tego najwięcej potrzebują. Chciałbym też między nimi umrzeć.« Tak mówił przy pożegnaniu do przyjaciół Kościerskich, którzy go żegnali serdecznie i czule, jak brata. Tu się znowu jak na dłoni okazuje, że Polak gornoszląski i Polak z innych stron Polski to bracia; nie ma między nimi żadnej innej różnicy, jak ta, że jeden się rodził na Szląsku a drugi w innej okolicy Polski. Ks. Damroth czuł się w Prusach królewskich, gdzie Polacy mieszkają, zupełnie, jak w domu; tamtejsi Polacy, duchowni i świeccy, jak bracia do grona swego go przyjęli, jak z bratem żyli i jak brata żegnali. Nie może być inaczej; jeden jest naród polski, a wszyscy Polacy są dziećmi tego narodu. Tylko

ludzie nieświadomi lub Polakom nieżyczliwi mogą twierdzić inaczej. Bóg stworzył jeden naród polski, ludzie go sztucznie granicami rozdzielili; my jako dobrzy katolicy wierzymy Bogu i Jego urządzeń się trzymać powinniśmy.

Ks. Damroth, wracając na Szląsk, jechał z postanowieniem porzucenia urzędu dyrektora. Zapragnął więcej działać dla dobra ludu swego i w tym celu przyjąć probostwo. Jakoż istotnie niezadługo zgłosił się do władzy o probostwo. Lecz przełożona władza szkolna nie chciała puścić ze służby rządowej tak znakomitego pedagoga. Prezydent naczelny prosił go, aby jeszcze kilka lat w urzędzie pozostał. Ks. Damroth, ulubiwszy sobie swój zawód, zgodził się na to, pocieszając się nadzieją, że za kilka lat nadejdzie dla niego czas swobodniejszego działania dla dobra swego ludu. Cztery lata w Opolu, a gdy następnie seminaryum do Pruskowa przeniesiono, znowu cztery lata tamże w urzędzie dyrektora pozostawał. Tymczasem choroba piersiowa coraz więcej się rozwijała, aż w końcu zabrakło sił do sprawowania urzędu. Podał się przeto do dymisyi i otrzymał ją w r. 1891.

Nadeszła tedy upragniona od dawna chwila niezależności od rządu; lecz niestety inny władzca pochwycił go w swoję moc: choroba nieuleczalna wzięła go w niewolę i uczyniła niezdolnym cieleśnie do działania w parafii i w życiu publicznem. Ks. Damroth czuł, że już się nie wyrwie z objęć choroby i że minął dla niego czas czynnego udziału w sprawach swego społeczeństwa. Schorzały osiadł w uroczych Pilchowicach, w klasztorze Braci Miłosiernych, aby tam w zaciszu i spokoju podtrzymywać siły życiowe.

Lecz jakże duch jego silny i serce gorące mogło oddać się spokojowi, gdy w ojczystej ziemi jego ciągłe burze trwają, gdy walka współbraci o prawa i życie się toczy, gdy twarda konieczność obowiązek uczestniczenia w boju wkłada na każdego, kto ma serce dla ludu? Ks. Damroth nie wytrzymał w spokoju i wszystkie ostatnie chwile życia poświęcił swemu ludowi. Można powiedzieć, że choć ukryty, stał w pierwszych szeregach walczących piórem i szermierzył w licznych artykułach o sprawach politycznych, narodowych, szkolnych, umieszczanych w gazetach polskich i sprawiedliwych niemieckich za sprawę narodu swego. W pamiętnym r. 1893, gdy przez ówczesne wybory posłów do parlamentu poruszyło się aż do głębi całe polskie społeczeństwo na Szląsku, stał po stronie ludu i partyi ludowej. Jakże się cieszył, że lud polski na Szląsku samodzielnie do walki o prawa swoje wystąpił! Jakże radował się ze zwycięztwa!....

Wtedy też napisał owe śliczne strofy:

.... Ot — minęła zima długa,
Która ludek nasz studziła;
Dziś ten lud oświaty struga
Z wiekowego snu zbudziła.
Jak się z wiosną budzą gaje,
Świeży liść i wiatr szeleści,
Tak śród ludu szmer powstaje,
Który nową wiosnę wieści,
Wiosnę ludu, czynu, słowa:
Weźm znów lutnię, — precz z skargami,
A na Szląsku zabrzmi nowa
Pieśń radosna, bo Bóg z nami!

W cichej celi klasztornej, pochylony cierpieniem, spogląda po ziemi swej wieszcz narodowy. Spogląda, jak lud jego zrywa się do walki i do pokazania przed światem, że żyje i żyć chce. Od lat wyczekiwał wieszcz tego znaku żywotności ludu i doczekał się. Pierś schorzała przepełnia się uczuciem błogiem, myśl ulata w minione dni młodości, wspomina ideały wiosny życia i z drżącej lutni płynie ku zwycięzkiemu ludowi pieśń o »wiośnie ludu«...

Jak zwycięzców obsypują kwiatami, tak wieszcz narodowy podaje ludowi swemu krótko po walce kwiaty swego ducha i serca. W tym czasie wychodzą dwa tomy jego poezyi p. t. »Z niwy szląskiej.« Z »Wianka«, wydanego w roku 1867, urósł wielki wieniec, bo poeta przez całe życie nie wypuścił lutni z ręki, lecz ciągle dodawał po kwiatku do wieńca.

W ostatnich latach życia wykończył dzieło religijne p. t. »Iskry Ignacyańskie«, zawierające rozmyślania na każdy dzień roku i dzieło naukowe, w niemieckim języku napisane: »O nazwach śląskich.« Ostatnie napisał dla tego po niemiecku, ponieważ chciał w niem odeprzeć błędne twierdzenia pisarzy niemieckich, o tej samej sprawie piszących. Oba ostatnie dzieła wykończone są w manuskrypcie, lecz druk ich dopiero do połowy skończony. Wyjdą z druku nakładem »Katolika« w ciągu roku 1895.

W ostatnich miesiącach życia napisał kilkanaście utworów poetycznych, bo (pisze)

... Jak ci nucił pieśniarz młody,
Pozwól, niech zakończy stary.

Te ostatnie utwory są pełne wielkiej rzewności, albowiem

... Jąm ubogi i schorzały,
Dusza ma znużona,
Lutnia przyjaciołka moja,
Stara, rozstrojona.
Z życia mało się ostało
Nad kolce cierpienia,
W oczach łzy na ustach modły,
A w sercu wspomnienia.

Śpiewał tedy aż do samej śmierci, wierny lutni do końca, zawsze w tym samym duchu.

... Więc ci cześć i dzięka, Panie,
Za twą dobroć, za twe dary.
. . . .
Żem się zdołał oprzeć prądom
Lub nie osiadł na mieliźnie,
Żem ojczystej mowie, sprawie,



JASKÓŁKI WRACAJĄ.

Wiernym został na obczyźnie;
Że różowo patrząc na świat
Nie zwątpiłem o ludzkości;
W cuda wierząc, nie zwątpiłem
O mej ojczyzny przyszłości....

Ks. Damroth dokonał chwalebnego i zacnego żywota dnia 5-go Marca 1895 a pochowany został 9-go Marca na cmentarzu klasztoru Braci Miłosiernych w Pilchowicach.

W JESIENI.

Pamiętałeś też ty w maju,
Spoczywając w chłodnym gaju,
Podziwiając liść i kwiecie,
Że je kiedyś śnieg przygniecie?

Pamiętałeś też ty w wiośnie
Przysłuchając się radośnie
Śpiewom ptasząt, że te pienie
Kiedyś zasypie milczenie?

Ach, kto w wiośnie, wśród zieleni,
Rad pamięta o jesieni?
Kto rad słucha w wieku sile
O siwiźnie i mogile?

Jednak wszystko niknie w świecie,
Wiosna, młodość, śpiewy, kwiecie:
Tylko skarbów skrytych w duszy
Ni czas, nie śmierć ci nie ruszy.

Tymi skarby ciche cnoty
I sumienia spokój złoty,
Te zostaną wiecznie z tobą
Twą własnością i ozdobą.

1894. Czesław Lubiński.

Z HISTORYI ZEGARA.

Otoczony wnuczętami, siedział pan Grabowiecki, przed domem i opowiadał im różne ładne opowiastki. Wtem wydobył z kieszeni zegarek, chcąc się dowiedzieć, która godzina. Był to starożytny zegarek w kształcie dużej, grubej cebuli. Dzieci, które widziały u ojca inny zegarek kieszonkowy, przyglądały się uważnie zegarkowi dziadunia.

— Toż to cebula! — zawoła Michaś śmiejąc się wesoło, nie lada kieszeni potrzeba było do schowania takiego zegarka!

— Poważniejszemi i roślejszemi od nas byli ludzie, którzy go nosili, — odpowie dziadunio, — owoż stósownie do rosłych swoich postaci, dostatnie krojem nosili odzienie, w którem podobne zegarki z łatwością ukryć się dały. Dziwicie się wielkości tego zegarka, śmiejąc z grubych kształtów jego, a jakżeby się zaśmiali smutnie pradziadowie nasi, gdyby chcieli którego z młodych prawnuków przystroić w zbroję żelazną, jaką sami idąc do boju wdziewali, a której dzisiejszy, najsilniejszy młodzian unieśćby w górę nie zdołał!

Zamilkły dzieci na słowa surowego napomnienia dziadka, co widząc pan Grabowiecki, dotknął sprężyny zegarka, a on... o, dziwy!... ślicznym cieniutkim jakby igiełka głosikiem, dawnego poloneza grać zaczął; oniemiała dziatwa z radości i podziwienia zarazem, a słowa przemówić nie śmiejąc, słuchała czystego srebrnego głosu zegarka; gdy przestał, wyrazili zdumienie swoje dziadkowi, zkąd w niepozornym o grubych kształtach zegarku, zadziwiająca tyle mechanika znajdować się może?

— Widzicie kochani — dziaduś im odpowie, — obecna sprawa z zegarkiem, to tak jak z ludźmi na świecie. Wygłaszamy często zdania nasze o drugich sądząc ich z pozoru, z ich niezgrabnej postaci, niepięknej twarzy, lub ubogiego ubrania. Wnosimy, że człowiek ten wart bardzo mało, albo nic prawie, i omijamy

go z pogardą, składając cześć świetniejącemu przepychem lub powierzchownemi wdziękami; tymczasem zacność serca, charakter, uczciwość, słowem prawdziwa wartość człowieka, jak mechanika pełna harmonijnych wdzięków ukryta w tym tu zegarku, chowa się zwykle w najmniej pozornym człowieku; dla tego mając w pamięci tę dzisiejszą sprawę, nie bądźcie nigdy pochopnemi do wydawania sądu o drugich, albo lekceważenia kogoś dla jego mniej ponętnej powierzchowności.

— Przepraszamy cię więc zegarku... przepraszamy staruszku, — wołały dzieci wesoło, — zagraj nam jeszcze co na zgodę, a pamiętając to zdarzenie z tobą, nie poważymy się nigdy już sądzić źle o drugich z pozoru.

Pan Grabowiecki ruszył sprężyną, a zegarek znów dzwonić począł jakiegoś dawnego kuranta.

Nacieszywszy się dziatwa muzyką, zapragnęła słyszeć coś o historyi zegarka; spełniając życzenie wnucząt dziadunio, tak zaczął:

— Nie sądźcie drodzy moi, iż zegarek jaki tu widzicie o grubych i niezgrabnych kształtach, jest pierwszym jaki zrobiono na świecie, tak odległych nie sięga on czasów; zanim ludzie po wielu bezowocnych próbach wpadli na myśl zestawienia drobniuchnych kółek i sprężyn zegarkowych, tak, aby je w ścisły i jednostajny ruch wprowadzić można było, długie upłynęły wieki.

Pierwsi Rzymianie i Grecy wpadli na myśl urządzenia skrzynki napełnionej wodą, z której jednostajny upływ tejże wody służył do mierzenia czasu, przyrząd takowy nazywał się klepsydrą.

Klepsydry te następnie udoskonalono, zaopatrzywszy je tarczą (cyferblatem), po którym za pomocą prostego mechanizmu posuwały się wskazówki oznaczające godziny; prócz tej klepsydry, były już naówczas znane: klepsydra piaskowa, która przesypywaniem się piasku oznaczała bieg czasu, i kompas, czyli zegar słoneczny, jaki jeszcze po dziś dzień w niektórych ogrodach widzicie.

Z nadejściem roku 1370 zjawił się we Francyi pierwszy zegar pałacowy, sporządzony przez Niemca de Vic, na rozkaz Karola V do jego pałacu, rzecz jasna, o nader grubych i nieforemnych kształtach. We dwa blisko wieki, Galileusz, wpadł na myśl zastósowania ruchu wahadłowego do obrotu zegara, a pomysł ten wprowadził w wykonanie i wieloma własnego pomysłu ulepszeniami umocnił Krystyan Hujgens, Holenderczyk, osiedlony we Francyi.

Odtąd sztuka zegarmistrzowska dążyć zaczęła do coraz wyższego udoskonalenia, aż w roku 1676 w Anglii sporządzono pierwsze zegary repetyery. W siedemnastem stuleciu słynęli w sztuce zegarmistrzowskiej Julian le Roi, Harison i Breguet, od którego zegarki najlepsze miały nazwę Bregetowskich; w tym to czasie wynaleziono chronometry czyli morskie zegary, a w najbliższych nam czasach zegary elektryczne, za pomocą których sprawić można, iż wszystkie zegary w całym domu lub mieście jednakową godzinę wskazywać będą. — Pierwszą próbę z takim zegarem elektrycznym zrobił w Lipsku roku 1850 zegarmistrz Storer, która się najzupełniej powiodła. Dziś najsłynniejsze zegarki wyrabiają w Genewie, których niezliczoną moc to miasto rozsyła na wszystkie części świata.

Z pomiędzy arcydzieł dawniejszej sztuki zegarmistrzowskiej, zasługuje na bliższe poznanie zegar umieszczony na katedrze Strasburskiej w roku 1574, a sporządzony przez Izaaka Hobrech, który pracy tej życie swe całe poświęcił. — Zegar ten w niedługim czasie wszakże uległ zepsuciu; chcąc zużytkować piękny postument tegoż, który jako arcydzieło sztuki snycerskiej wielkie obudzał w znawcach zajęcie, rząd francuzki rozkazał znakomitemu mechanikowi panu Schvilpue zbadać stan jego i na nowo zupełnie odbudować.

Jakoż wspomniony mechanik wziąwszy się do dzieła z właściwą sobie umiejętnością, ukończył w roku 1842 zegar przewyższający pomysłowością wszelkie dotąd znane.

Tarcza jego wskazuje godziny, święta ruchome, wszelkie zmiany w ciągu roku przypadające, bieg planet widzialnych, obroty i zaćmienia słońca i księżyca, glob niebieski z wskazaniem punktów równonocnych i wiele innych ciekawych szczegółów.

U wierzchołka tarczy zegarowej stoi aniołek, który pałeczką wybija godziny, kwadranse zaś tychże godzin wydzwaniają wychodzące kolejno figurki młodzieńca, męża i starca; we wgłębieniu znajduje się postać przedstawiająca Chrystusa, a powyżej tegoż wgłębienia umieszczony kogut, pianiem swem oznajmia południe.

Wtedy z głębi zegaru wychodzą kolejno apostołowie nachylając głowy przed Chrystusem, który unosząc dłoń, każdego z uczniów błogosławi; — po za wszystkimi zjawia się Judasz, Chrystus na ukazanie się jego, opuszcza dłoń i odwraca głowę, a zdrajca jakby zawstydzony, odchodzi powoli.

W dzień Nowego Roku cały mechanizm zmienia się w powyższym zegarze i nastawia znów na rok cały.

Możecie wyobrazić sobie z mego opowiadania — kończył pan Grabowiecki — ile pomysłowości i cierpliwego wytrwania posiadać musiał człowiek, chcący takie arcydzieło do skutku doprowadzić.

— I doprowadził je dziadziu? — zapytał Michaś ciekawie.

— Tak, drogie dziecię, przy pomocy Bożej, a imię jego przez wieków szeregi przejdzie do potomności jako wzór, co może zdziałać cierpliwość i szczere pracy ukochanie!

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Nowa brama dziedzińca kościelnego na Skałce w Krakowie. Pan St. Tomkowicz pisze o tej bramie: »Kościół na Skałce w Krakowie, miejsce męczeńskie św. Stanisława biskupa, przez długie czasy zaniedbany wskutek materyalnych stosunków klasztoru OO. Paulinów, w latach ostatnich zaczął się dźwigać z upadku, dzięki energicznym zabiegom konwentu i jego przeora O. Ambrożego Federowicza. Tym zabiegom, popartym przez umiejętne kierownictwo architekta p. Karola Knausa, zawdzięcza kościół gruntowną swoją restauracyę i ozdobę. Najsmutniej do ostatnich czasów przedstawiało się skromne wejście frontowe na dziedziniec kościelny. W roku ubiegłym i o to się postarano. Uzyskawszy potrzebny fundusz, O. Federowicz polecił architekcie przygotować plany na bramę, która też w ciągu lata stanęła. Według fotografii robionej z natury podajemy jej widok. Odpowiednio do gmachu kościelnego, pomyślana w stylu barokowym, jest ona rodzajem łuku tryumfalnego, trój-dzielnego. W środku, który jest podwyższonym, szeroki otwór stanowi przejazd. Po dwóch bokach niższe przystawki tworzą furtki dla przechodzących. Piękne pilastry zdobią filary, które nakrywa bogato profilowane gzemsowanie, nad bramą środkową wznoszące się wygiętemi liniami w górę, i w samym środku przerwane, aby dać miejsce strzelającemu z pośród girland obeliskowi. Iglicę jego zakończa orzeł metalowy, przypominający epizod męczeńskiej śmierci św. Stanisława. Urny i kule kamienne zaznaczają zakończenia wyższych i niższych par filarów. Do zamknięcia trzech otworów bramy architekt p. Knaus obmyślił kraty żelazne i narysował ich sploty w naturalnej wielkości.

Kraty są tak, jak cały portal, w stylu późnego baroku, doskonale przez rysownika odczutym i w szczegóły wprowadzonym. Ozdobę stanowią użyte przy tem emblemata i symbole. Wśród prętów prostych oraz wdzięcznie powyginanych i poskręcanych, dwie połowy wrót bramy głównej mieszczą w pięknie obramionych medalionach: jedna »Orła polskiego«, druga »Pogoń.« Ponad skrętami zdobiącemi brzeg górny umieszczono godło zakonu OO. Paulinów: drzewo palmowe, do którego wspinają się dwa lwy, i kruk na szczycie drzewa. Górne zakończenie stanowią sploty i liście, a na nich skrzyżowane: pastorał i krzyż, nad któremi unosi się infuła biskupia. W bocznych furtkach, wśród podobnych skrętów, widzimy w jednej herb Prus rodziny Szczepanowskich, do której należał św. Stanisław; na drugiej herb Wieniawę, historyka Długosza, na Skałce pochowanego.

Krata wykonana została w zakładzie ślusarskim p. Góreckiego w Krakowie. Zarówno pomysłem jak wykonaniem przynosi ona zaszczyt naszemu przemysłowi artystycznemu, zaczynającemu dźwigać się z długiego letargu. Istotnie jest to pierwszy na tę skalę okaz sztuki zastosowanej do przemysłu ślusarskiego, jaki w naszych czasach w kraju i miejscowemi silami został wykonany. Dobrze on świadczy o usiłowaniach i działalności naszych szkół przemysłowo-artystycznych.

Krata bramy głównej była na wystawie krajowej we Lwowie i tam ściągnęła na twórcę swego niemałą chlubę, zwracając powszechną na siebie uwagę, a zyskując niepodzielne uznanie znawców oraz pochlebne słowa ze strony monarchy. Sędziowie wystawowi przyznali p. Góreckiemu za ten wyrób medal złoty. Szczerze życzyć wypada, aby ta zasłużona nagroda nietylko była zachętą do dalszych usiłowań i postępu, ale zarazem przyczyniła się do zjednania twórcy kraty poparcia publiczności. Na to bowiem, aby największa nawet zdolność i umiejętność mogła się rozwinąć należycie, musi koniecznie mieć przed sobą pole działania i sposobność do okazania, co potrafi.«

Ojcowie Paulini zabierają się teraz do odnowienia sadzawki św. Stanisława, która w istocie prędkiej naprawy wymaga. Potrzebny fundusz ma się zebrać w drodze składek w całej polskiej ziemi. Zachęcamy czytelników »Światła«, aby zechcieli o tej sprawie pamiętać i przyczynić się także do zachowania świętej pamiątki narodu naszego w godnym stanie. Wszelkie datki można posyłać pod adresem: OO. Paulini na Skałce w Krakowie. Także redakcya »Światła« przyjmuje składki na odnowienie sadzawki św. Stanisława. Polecamy gorąco tę sprawę życzliwej pamięci wszystkich rodaków.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Papież i matka jego.

Kiedy Benedykt XI. ze zakonu Dominikanów, syn ubogich rodziców, został papieżem roku 1803, żyła jeszcze matka jego, i pojechała do Rzymu, skoro usłyszała o wyniesieniu ukochanego syna do najwyższej godności, aby go jeszcze raz widzieć, a potem spokojnie umrzeć. Skoro w Rzymie usłyszano, że przybyła matka papieża, zaraz panie rzymskie przebrały ją w pańskie piękne szaty, myśląc, że sprawią przez to papieżowi wielką uciechę. Lecz stało się inaczej. Skoro przyprowadzono matkę przed niego, zapytał się, chociaż ją dobrze poznał, co to za wielka pani? Gdy powiedziano, że to jego matka, odpowiedział: »To nie podobieństwo, bo matka moja jest uboga i ubiera się nader skromnie, na starość przecież nie będzie się stroiła, nie będzie pożyczała sobie pięknych szat od innych, aby zobaczyć się ze synem, który ją kocha zawsze starą miłością.« Matka zrozumiała o co chodzi, poszła i przybrała znowu swoje zwykłe szaty. Kiedy wróciła do papieża uściskał ją ze synowską miłością i rzekł: »Teraz poznaję moją starą matkę, zawsze równo ukochaną.«

Papież dał przykład, jako się dzieci nigdy nie powinny wstydzić rodziców, choćby najwyżej się wyniosły, a dał naukę, jako też nigdy swego stanu nie potrzeba się wstydzić i szat swego stanu.

Ile godzin spać należy,

aby wstać pokrzepionym, i czy praca nocna jest równie dobrą dla zdrowia jak dzienna.

Mózg, zmęczony całodziennem wrażeniem, musi odpocząć; przepływ krwi do głowy podczas snu odświeża go i zasila; podbudzona zaś w ciągu dnia działalność nerwów zmniejsza się w nocy. Sen stanowi jedno z największych dobrodziejstw, jakiego ludzie doznają; pokrzepia nas fizycznie i moralnie, wiedzie za sobą chwilowe zapomnienie dręczących nas cierpień, jest błogim odpoczynkiem tak dla ciała jak dla ducha.

Śpiąc jednak za długo, pozbawiamy się w części dobroczynnych jego korzyści, a zarazem skracamy sobie życie. Jeżeli przeznaczamy na sen dziesięć godzin dziennie, to jest o trzy godziny za dużo, więc przez lat 60 pozbawiamy się 11 lat życia. Jeżeli sen trwa sześć do ośmiu godzin, transpiracya odbywa się w warunkach normalnych i po obudzeniu wstajemy wypoczęci i pokrzepieni. Przeciwnie podczas snu przedłużonego, skóra w skutek słabszego oddychania stygnie i transpiracya się zmniejsza; czujemy po przebudzeniu ociężałość we wszystkich członkach, skazanych na zbyt długą bezczynność, krew się zgęszcza, zbytni napływ jej do głowy sprowadza uporczywe migreny, ogarnia nas niepokonane lenistwo, słowem człowiek staje się do niczego. Newralgia, reumatyzm, podagra, apopleksya — oto są zazwyczaj skutki snu przedłużonego; przedwczesna starość i różne choroby karzą nas za to nadużycie.

»Przedłużony sen«, mówi Hufeland, »nagromadza w nas zbytnie humory, pozbawia muskuły sprężystości i skraca życie. Sen nie powinien być krótszy nad sześć godzin a dłuższy nad ośm.«

Długie w noc czuwanie jest bardzo dla zdrowia szkodliwe; łatwo się o tem przekonać, spojrzawszy na twarz osoby, która z nocy robi dzień, a z dnia noc. Blada cera, podbite oczy, przygasłe spojrzenie stanowią niezbity dowód, że sen podczas dnia nigdy nie jest tak pokrzepiającym i głębokim, jak podczas nocy. Długie czuwanie naraża nas nietylko na utratę sił i zdrowia, ale nadto pozbawia dobroczynnego działania światła i powietrza dziennego, które zawiera więcej tlenu.

Praca w nocy daleko prędzej męczy mózg i oczy niż w dzień; żółtawa bladość cery, choroby wzroku, zmarszczki i siwizna, wyczerpanie sił a w następstwie śmierć przedwczesna — oto skutki łamania jednego z pierwszych praw hygieny. Wszyscy zgadzają się na to, że sen przed północą jest najposilniejszym, najgłębszym i dla organizmu najkorzystniejszym. Łóżko nieco twarde jest lepszem niż zbyt miękkie, które z tego powodu wywołuje nadmierną transpiracyą.

Zarówno mędrcy jak lekarze potępiają zwyczaj długiego w noc czuwania. »Bóg w niewyczerpanem miłosierdziu swojem«, mówi Machomet, — dał wam dzień ku pracy, a noc ku spoczynkowi. Bądźcie mu wdzięczni za tę łaskę i korzystajcie z niej wedle przeznaczenia«.

Słówko do małżonków.

O wiele szczęśliwiej żyliby ze sobą małżonkowie, gdyby chcieli trzymać się następujących przepisów.

1. Starać się domowe sprawy dla siebie samych zachować. Niezmiernie przeszkadza szczęściu małżeńskiemu rozpowiadać wszystkim, albo choćby tylko przyjaciołom i przyjaciółkom, lub nawet braciom i siostrom o drobnych chwilowych nieporozumieniach. Nikomu nawet naj-

ciślejszem i przyjacielowi nie powinno żadne z małżonków na drugie się skarżyć.

2. Wydatki należy zastósować do dochodów, a pamiętać też o tem, ażeby coś na »czarną chwilę« odłożyć.

3. We wzajemnem ze sobą postępowaniu o ile możności taką kierować się uprzejmością, jaka panowała w czasach »narzeczeństwa«.

4. Pamiętać zawsze o tem, że mąż lub żona nie jest i nie może być aniołem, tylko jest człowiekiem ułomnym.

5. Starać się wzajemnie zawsze być pociechą, pomocą i współczującym przyjacielem dla drugiego.

6. W domu równą kierować się wzajemną uprzejmością jak w obec obcych.

7. Własne błędy uznawać z ochotą i nie upierać się przy tem, jakoby się miało słuszność, jeżeli w rzeczywistości ma się niesłuszność.

8. Rozdrażnionego nie drażnić jeszcze więcej sprzeciwianiem się, ale odczekać cierpliwie chwili spokojnej dla spokojnego rozmówienia się.

9. Ze słownika małżeńskiego usunąć raz na zawsze wyrazy: obraza, obrażanie się, a kierować się niezmiennie jak najzupełniejszą otwartością. Małżonek w małżonce, a małżonka w małżonku najzupełniejsze powinni pokładać zaufanie i żadnych absolutnie tajemnic przed sobą mieć nie powinni.

10. Szczęściem jest prawdziwem, jeżeli w chwilach grożącego niepokoju małżeńskiego lub nieporozumień, jedno przynajmniej z małżonków zachowa tyle rozsądku, by drugie poprowadzić przed obraz świętej Familii, na obraz ten wskazać i pod nim się rozmówić spokojnie.

Praktyczne rady.

— **Powłoka na drzewo.** Chcąc zabezpieczyć drzewo od wpływu powietrza i wilgoci, opala się je lub smaruje smołą z węgla kamiennego. Dobra i tania powłoka na drzewo składa się z następujących części: 2 funty terrangeliki, 10 łutów sproszkowanej kalafonii, 12 łutów kwasu siarczanego, 2 funty tranu, 3 kwaterki mąki żytniej i 4 kwarty wody. Ilością wyżej podaną pokryć można 250 stóp kwadrat. drzewa, więc koszt jest nadzwyczaj mały. Na dachy drewniane Towarzystwo rólnicze w Londynie zaleca następującą powłokę: do trzech części sproszkowanej kredy lub kamienia wapiennego, dodaje się jednę część smoły z węgla kamiennego. Mięszaninę tę gotuje się w żelaznem naczyniu, aż do zawrzenia, tak długo, przy ciągłem mięszaniu, aż zgęstnieje do tego stopnia, że się do drzewa przylepiać będzie, a pod wodą zimną twardnieć zacznie. Po rozprowadzeniu na dachu, masę tę posypuje się miałkiem piaskiem.

— **Uprawa kwiatów bez ziemi.** Kwiaty dają się doskonale hodować na mchu. Układa się go szczelnie w koszyku, a w środek wsadza się kwiaty z korzonkami, najlepiej drobne, nie zapuszczające głęboko korzeni, stokrotki, bławatki, karłowate lewkonie i t. p., także rośliny pnące. W ten sposób można stroić ładnie pokoje i okna takiemi lekkiemi, łatwo przenośnemi i dającemi się wieszać koszykami W ten sposób hodować też można i poziomki, które we mchu kwitną i wydają owoce, także potrzebną do kuchni zieloną pietruszkę lub szczypiorek, a w większych koszach, ustawionych na balkonie, nawet drzewka owocowe dojrzewają, i można je tak całe z owocami stawiać do ubrania stołu. Korzeń trzeba utrzymywać dostatecznie wilgotny i często mchu dodawać, aby zawsze obficie i szczelnie okrywał korzenie posadzonych w nim roślin. Dwa gatunki mchu nadają się szczególnie do tego celu, t. j. »Hypnum objetium« i »Spagnum palustre«.

Rozmaitości.

* **Drzewo kamforowe** rośnie głównie w Chinach i Japonii; listki jego i gałązki po zgnieceniu, wydają silną woń kamfory. Znane jest w Europie od roku 1675. Najważniejszym jego produktem jest kamfora, która otrzymuje się w sposób następujący: pień, gałęzie i korzenie kraje się w kawałki i wrzuca się w kocioł z wodą, przykryty słomą ryżową i ziemią. Wskutek gotowania kamfora się ulatnia i w postaci kryształów osiada na słomie; po zebraniu oczyszcza się raz jeszcze. Kamfora używana jest także do lakierów i fajerwerków, pali się nawet w wodzie. Grekom i Rzymianom była nieznana, Arabowie dopiero wprowadzili ją do Europy.

* **Największy obraz** na świecie jest w pałacu Dożów w Wenecyi; malował go Tintoretto, przedstawia on raj ziemski. Szerokość jego wynosi ośmdziesiąt cztery stopy, a wysokość trzydzieści trzy i pół.

* **Z kości zbieranych** przez gałganiarzy różne są użytki: otrzymują z nich czarne farby i szuwaks, używają w cukrowniach i rafineryach do filtrowania syropu. Kości przepalone wchodzą w skład szkła matowego, sproszkowane służą za nawóz. Wygotowują też z kości rodzaj łoju i oleju.

* **Przeciętna waga** człowieka wynosi 70 kilogramów. Podług Huxley'a, największą część ciała, bo 31 kilogr., stanowią mięśnie i dodatkowe do nich organa, jak ścięgna i błony; średnią szkielet ważący 12 kil., i tłuszcz także 12 kil.; na tkankę nerwową przypada 1,5 kil., reszta zaś na wodę, krew i inne części płynne.

* **W Chinach** bardzo surowa kara spotyka palaczy tytuniu:

za pierwszym razem wypalają mu na twarzy gorącem żelazem słowa «Ser-Fei«, co znaczy »łotrpalacz«. Jeżeli po raz drugi schwytają go na tem przestępstwie, dostaje sto kijów i jest skazany na wygnanie. Za trzecim razem, ucinają mu głowę W Europie nie dałyby się zastósować prawa chińskie, bo połowa ludności od razu by zginęła.

* **O mahoniu.** Na początku zeszłego wieku, Gibbons, kapitan okrętu angielskiego, przywiózł z Ameryki, jako balast, kilka kloców mahoniu i podarował swemu bratu, sławnemu doktorowi. Brat chciał je zużyć przy budowie domu, ale cieśla oświadczył, że jest za twarde. Wkrótce potem żona Gibbonsa potrzebowała skrzynki i kazała stolarzowi wziąść na to jeden z mahoniowych kloców. Piękna barwa, połysk i twardość nieznanego drzewa zwróciły uwagę doktora Gibbonsa, który polecił zrobić z niego ozdobne biórko. Przypadkiem zobaczyła je księżna Buckingham i zachwycona pięknością drzewa, wyprosiła u doktora ostatni kloc na szafkę. To były pierwsze w Europie sprzęty mahoniowe. Obecnie przywóz tego drzewa doszedł do takich rozmiarów, że sama Anglia zużywa go rocznie 20,000 ton. Mahoń rośnie tylko w Ameryce i nie przekracza granicy zwrotników; najczęściej spotyka się go w górach, rozpadlinach skał, które nieraz rozsadza swemi korzeniami. Pień jego posiada często 18 stóp obwodu, a pojedyńcze, obrobione na miejscu ważą po 500 i więcej centnarów.

* **Okrutny zwyczaj** zagrzebywania żywcem chorych nieuleczalnych istnieje na wyspach Nowych Hebrydach, gdzie między krajowcami grasuje choroba wielce zaraźliwa, podobna do trądu. Lekarstwa na nią niema, śmierć następuje zwykle w skutek gangreny; rozwojowi tej choroby sprzyjają warunki miejscowe: klimat zwrotnikowy, miliony mustyków, niechlujstwo mieszkańców, i brak wody, gdyż z powodu koralowej formacyi wysp deszcze przesiąkają zaraz przez grunt niezbyt spojny i za napój musi starczyć mleko kokosowe. Zwyczaj zagrzebywania żywcem starców istnieje na wielu innych wyspach oceanu Spokojnego.

* **Chmury deszczowe** (nimbus) opuszczają się najniżej; odległość ich od ziemi nie przenosi nigdy dwóch tysięcy stóp, a ma często tylko pięćset. Średnica ich grubości miewa od dwóch do pięciu mil angielskich. Chmury kłębiaste (cumulus) wznoszą się zwykle na wysokości 2 do 5 tysięcy stóp nad ziemią, najbardziej zaś oddalone są chmury pierzaste (cirrus), gdyż oddalone są od ziemi dziesięć do trzydziestu tysięcy stóp.

* **Mądry wyrok.** Biedny turecki robotnik w Konstantynopolu, mając zatrudnienie na dachu pewnego domu, spadł we wązką uliczkę na stojącego tam właśnie przechodnia. Robotnik uszedł bez szwanku, ale zabił przechodnia.

Syn zabitego kazał aresztować robotnika, i przed kadim (sędzią) wytoczył mu proces o morderstwo

Kadi wysłuchał obie strony i głęboko się zamyślił nad tym wypadkiem, gdyż był to pierwszy wypadek tego rodzaju w jego praktyce sądowej.

Syn zabitego domagał się przykładnego, a odpowiedniego ukarania robotnika, a Kadi nakoniec orzekł, że stósownie do przepisów: oko za oko, ząb za ząb, i tu musi zawyrokować. Zwracając się przeto do oskarzonego, rzekł:

— Pójdziesz na tę uliczkę, w której stał ojciec tego człowieka i staniesz zupełnie w tem samem miejscu, w którem on stał, kiedy ty go zabiłeś.

Potem zaś zwracając się do oskarzyciela powiedział:

— A ty wyjdź na dach, z którego spadł zabójca ojca twojego i spadnij, jeżeli chcesz, na niego. Wielki jest Ałłach i Mahomet jego prorok!

* **Kiedy została wynaleziona harfa?** Harfa należy do najstarożytniejszych instrumentów muzycznych; już na pomnikach egipskich spotykamy to narzędzie, mniej więcej takiego samego kształtu jak dzisiaj, a na grobowcu Sezostrysa wyobrażony jest kapłan piastujący harfę; liczy ona strun trzynaście i odznacza się pięknością, oraz bogactwem wyrobu. Hebrajczycy, przebywajac 400 lat w Egipcie, tam prawdopodobnie zapoznali się z tem narzedziem i przyswoili je sobie. W piśmie św. kilkakrotne są o niej wzmianki; był to ulubiony instrument muzyczny króla Dawida, który grą na nim uśmierzał napady szaleństwa Saula. Grecy znali harfę, ale przekładali nad nią siedmiostrunną lirę; u rzymian wcale jej nie spotykamy. U ludów północnych, zwłaszcza w Skandynawii, germanów i anglo-saksonów, harfa stanowiła narodowe narzędzie muzyczne; przy jej dźwiękach śpiewano pieśni i rycerskie rapsody; była ona jednak o wiele krótszą i mniejszą niż dzisiejsza. W pierwszej połowie naszego stulecia harfa była niezmiernie modną, kazda niemal panna zamożniejszego domu musiała grać na niej; później, skoro się rozpowszechniły fortepiany, została zarzuconą i dziś używa się tylko w orkiestrach.

ŻARTY.

Nie wiedzą.

— Wyobraź sobie, jakie nieszczęście spotkało państwa Gapownickich.

— Cóż się stało?

— Jedno z bliźniąt im umarło.

— To doprawdy zmartwienie...

— A tak, a najgorsze w tem jest to, że nie wiedzą, które z nich zmarło.

Między sąsiadkami.

— Może mi pani pożyczy trochę oliwy?

— Przepraszam, ale sama nie mam.

— Już też u pani porządne jest gospodarstwo. Nigdy nie ma u pani tego, czego chcę pożyczyć.

Amerykańska szybkość.

Rzecz dzieje się w szkole.

Nauczyciel: Piernikiewicz! powiedz mi jakie jest największe miasto w Ameryce?

Uczeń: New-York, panie profesorze... jeżeli...

Nauczyciel: Co „jeżeli“?

Uczeń: Jeżeli przez wczorajszą noc większego nie wybudowali.

Rada.

— Wojciechowo, a wy czego tak beczycie?

— Jak nie mam becyć, kiej mojemu się wczoraj zmarło! Oj poradźta mi, co mam tera zrobić?

— A no, pochować go...

Ten objaśnił.

— Panie Karolu, wytłomacz mi, dla czego ryby nie mogą żyć na powietrzu?

— A... to, widzi pani, przeważnie dla tego nie mogą żyć na powietrzu... że... zaraz zdychają...

Rozmowa z głuchą.

Pewien pan idzie z chartami na polowanie i spotyka starą kobietę.

— A gdzie to paniczek idzie?

— Na polowanie

— Na pokutowanie?! A co to paniczek niesie?

— Fuzyą.

— Rozumiem, pasyą! A co to za panem leci?

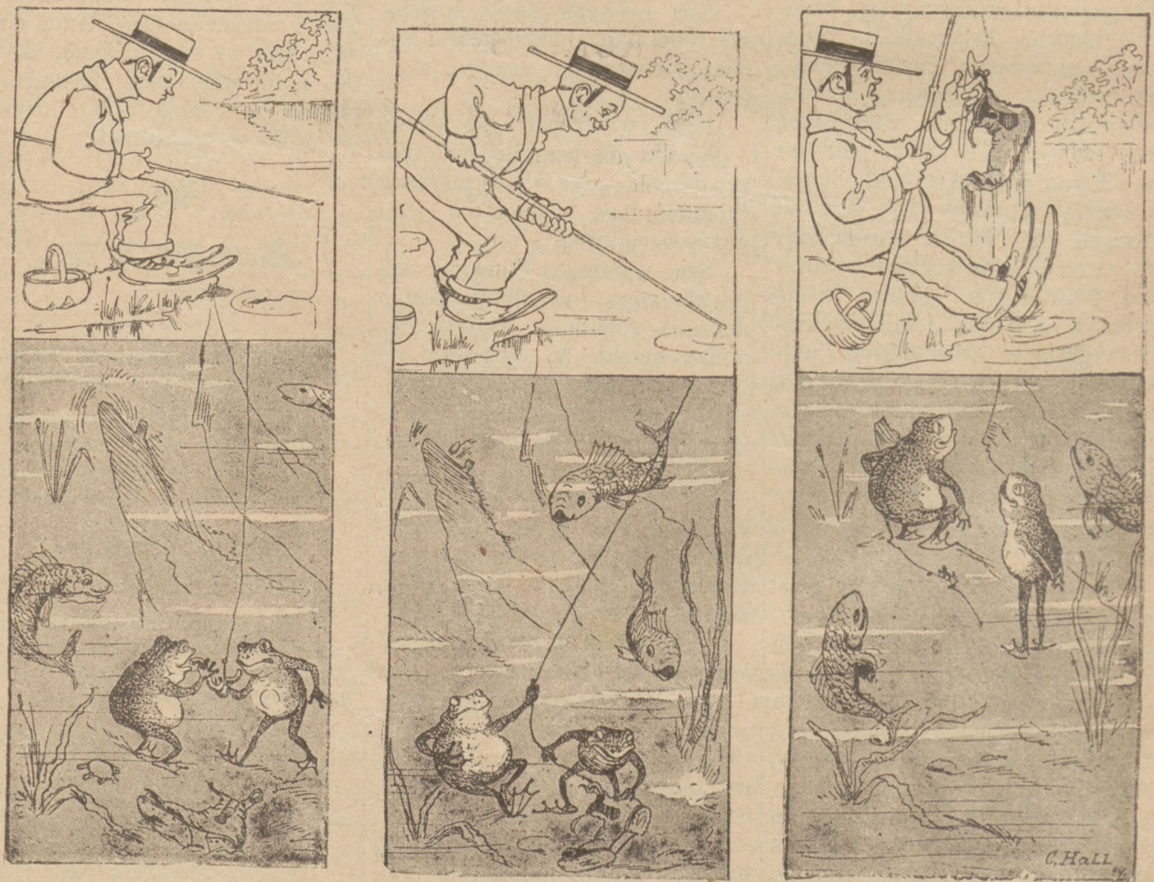
— To charty.

— O la Boga, czarty... Niech ta Pan Bóg ma paniczka w swojej opiece.



M a t k a (wybiwszy małego Kostka): Nie pamiętasz to, co powiedział mędrzec Salomon: kto dziecko swoje kocha, ten je karze?

K o s t e k (z płaczem): Gdy Salomon był jeszcze małym chłopcem, zapewnie tak nie mówił.



Figiel żab.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.